

C.J.
SANSOM
INWAZJA



Rozdział pierwszy

Cmentarz był pogrążony w ciszy letniego popołudnia. Na żwirowej ścieżce wciąż poniewierały się gałęzie i konary strącone z drzew przez wichry, które szalały nad Anglią w pamiętnym burzowym czerwcu tysiąc pięćset czterdziestego piątego roku. My, londyńczycy, zostaliśmy potraktowani ulgowo, z paru kominów sfrunęły wywiewki i tyle, ale na północy żywioły szalały. Mówiono, że spadł grad wielkości pięści, a z gradzin wyzierały ludzkie twarze. Jednakże, jak wie każdy prawnik, im dłużej opowieść krąży, tym więcej w niej przesady.

Przedpołudnie spędziłem w mojej kancelarii w Lincoln's Inn, pracując nad aktami nowych spraw, które wpłynęły do Sądu Prośb. Rozprawy miały się odbyć dopiero na jesieni; szykowała się wojna i król wydał rozkaz skrócenia wiosennej sesji obrad.

W ostatnich miesiącach zdarzało mi się przyłapać na tym, że nie mogę usiedzieć nad papierami. Skargi w kółko dotyczyły jednego: właściciele ziemscy starali się rugować dzierżawców, a na odzyskanych glebach hodować owce na wełnę, która jest w cenie, lub w tym samym celu zawłaszczyć grunta gminne, które żywią biedaków. Sprawy ważne, ale jedna podobna do drugiej. W dodatku, gdy pracowałem, mój wzrok mimowiednie wędrował w stronę listu, który został dostarczony przez posłańca z Hampton Court. List spoczywał na rogu mojego biurka: biały prostokąt z

lśniąca kroplą laku na środku. Niepokoił mnie zwłaszcza brakiem szczegółów. W końcu porzuciłem próby okiełznania błądzących myśli i zdecydowałem się pójść na spacer.

Przechodząc przez dziedziniec Gatehouse Court, zauważyłem młodą kwiaciarkę, którą wpuścił wartownik. Z twarzą okoloną białym czepcem, w szarej sukni i brudnym fartuchu, stała w rogu dziedzińca, wyciągając bukiety w stronę przechodzących prawników. Kiedy ją mijałem, krzyknęła, że jest wdową, a jej mąż poległ na wojnie. Dojrzałem w jej koszyku pszonak, który przypomniiał mi, że od miesiąca prawie nie zaszedłem na grób mojej biednej gospodyni, a jak raz pszonak był ulubionym kwiatem Joan. Poprosiłem o pęk, który podała szorstką, spracowaną dłonią. Gdy dałem jej pół pensa, dygnęła i podziękowała wylewnie, ale z jej oczu bił chłód. Przez Great Gate wyszedłem na świeżo wybrukowaną Chancery Lane, która prowadziła pod górę, do małego kościoła.

Idąc, wyrzucałem sobie malkontenctwo w sytuacji, gdy niejeden kolega zazdrościł mi posady adwokata w Sądzie Prośb, a radca królowej niekiedy powierzał lukratywne sprawy. Ale niespokojne, zamysłone twarze przechodniów uprzytomniły mi, że czasy nie nastrajają optymizmem. Mówiono, że Francuzi skrzyknęli trzydzieści tysięcy chłopów w portach po swojej stronie Kanału i szykują się, by uderzyć na Anglię wielką flotą okrętów wojennych; niektóre miały na pokładzie nawet stajnie z końmi. Nikt nie wiedział, gdzie wylądują, więc w całym kraju zarządzono pobór, a rekrutów kierowano do obrony wybrzeża. Wszystkie okręty królewskie wypłynęły na otwarte morze, a potężne statki handlowe konfiskowano i uzdatniano do walki. Król w zeszłym roku nałożył nowe podatki, żeby sfinansować najazd na Francję. Poniósł sromotną klęskę i od zimy wojska angielskie oblegały Boulogne, a teraz wyglądało na to, że wojna dotrze i do nas.

Wszedłem na cmentarz przy kościele. Nawet u tych, którzy nie grzeszą pobożnością, nastrój tego miejsca budzi cichą zadumę. Przykląkłem i złożyłem kwiaty na grobie Joan. Prowadziła moje skromne gospodarstwo przez lat dwadzieścia bez mała; kiedy przyszła do mnie na służbę, była wdową koło czterdziestki, ja zaś

świeżo upieczonym, początkującym adwokatem. Ponieważ straciła męża i nie miała krewnych, całe serce wkładała w dbanie o mnie; cicha, zręczna, uprzejma. Na wiosnę złapała influenzę i po tygodniu zmarła. Brakowało mi jej bardzo, zwłaszcza gdy zaczęło do mnie docierać, iż przez te wszystkie lata brałem jej poświęcenie i troskę za coś oczywistego. Przepaść między Joan a nygusem, który był teraz moim sługą, dobijała mnie.

Podniosłem się ze stęknieniem; w kolanach mi chrupnęło. Wizyta na grobie wyciszyła mnie, rozniecając wszakże nastrój melancholijny, do którego mam skłonność. Podjąłem wędrówkę między grobami, bo miałem na cmentarzu więcej znajomych. Przystanąłem przed nagrobkiem z przedniego marmuru:

ROGER ELLIARD
ADWOKAT LINCOLN'S INN
NAJDROŻSZY MĄŻ I OJCIEC
1502—1543

Z gorzkim uśmiechem wspomniałem rozmowę, jaką toczyliśmy z Rogerem tuż przed jego śmiercią, przed dwoma laty. Mówiliśmy o tym, że król roztrwoniał majątek klasztorów na pałace i wystawne życie, nie poczuwając się przy tym nawet do skromnej jałmużny, jaką bracia zakonnicy świadczyli ubogim. Wsparłem dłoń na kamieniu nagrobnym.

— Ach, Rogerze, dobrze, że nie widzisz, w co nas wpędził teraz.

Staruszka porządkująca kwiaty na sąsiednim grobie obejrzała się za siebie. Na widok garbatego jurysty, który przemawia do zmarłych, jej pobrużdżoną twarz wykrzywił grymas strachu. Ruszyłem dalej.

Nieco z boku stał inny nagrobek, który, podobnie jak nagrobek Joan, kazałem wznieść, opatrując tylko zwięzłym napisem:

GILES WRENNE
ADWOKAT Z YORKU
1467—1541

Na tym grobie nie wsparłem się, przemawiając do starca, który w nim spoczywał, ale wspominając okoliczności śmierci Gilesa, czułem, jak na własne życzenie dopraszam się czarnej melancholii.

Coś zagrzaśniało tak nagle, aż struchlałem. Staruszka zerwała się z kolan, tocząc wokół przerażonym wzrokiem. Domyślałem się, co się dzieje. Doszedłem do muru oddzielającego cmentarz od Pół Lincoln's Inn i pchnąłem drewnianą furtkę. Moim oczom ukazał się niezwykle widok.



Polu Lincoln's Inn to wielkie wrzosowisko, na którym studenci prawa zwykli polować na króliki na trawiastych zboczach wzgórza Coney Garth. W zwykłe wtorkowe popołudnie powinno się tu kręcić nie więcej niż kilka osób, ale tamtego dnia na Polach zastałem tłum, który przyglądał się pięćdziesiątce młodych mężczyzn ustawionych w pięciu koślawych szeregach. Młodzieńcy odziani byli na ogół w koszule i kamizelki, choć część nosiła niebieskie kaftany czeladników. Jedni mieli twarze ponure, inni wylęknione, jeszcze inni pełne zapału. Prawie każdy dzierżył długi łuk, który w myśl prawa powinni posiadać wszyscy mężczyźni w wieku poborowym, by ćwiczyć się w sztuce łucznictwa, choć wielu nad ćwiczenia przedkłada bule, kości i zakazane dla gminu karty. Łuki miały dwa jardy długości, będąc zwykle wyższe od swych właścicieli, zdarzały się jednak łuki krótsze, nie z cisu, tylko z pośledniego wiązu. Większość mężczyzn na jednej ręce nosiła skórzany mankiet, a na palcach drugiej skórzany naparstnik. Cięciwy łuków były naciągnięte, gotowe do strzału.

Łucznicy byli zaganiani do szeregów po dziesięciu przez wojskowego w sile wieku, z którego kwadratowej twarzy okolonej krótką, czarną brodą bił wyraz srogiej dezaprobaty. Oficer wyglądał imponująco w mundurze londyńskiego Korpusu Ochotników, składającym się z okrągłego, lśniącego hełmu i białego dubletu z nacięciami w rękawach i w pludrach, przez które przeświecała czerwona podszewka.

Co najmniej dwieście jardów dalej sterczały dwie sześciostopowe

pryzmy obłożonej darnią ziemi, na których w każdą niedzielę wszyscy zdolni do służby wojskowej mieli obowiązek ćwiczyć celność. Wyteńczywszy wzrok, dostrzegłem na jednej z pryzm słomianego chochoła w zdezelowanym hełmie i podartych łachmanach, z francuską lilią wymalowaną niewprawnie na piersi. Pojąłem, że jestem świadkiem kolejnego sprawdzianu obronności, podczas którego badano umiejętności obywateli miasta, żeby wyłonić tych, którzy zostaną skierowani do gromadzących się na wybrzeżu wojsk albo na okręty królewskie. Sam na szczęście jako czterdziestotrzyletni garbus byłem zwolniony ze służby wojskowej.

Mały, pulchny jegomość z grzbietu rasowej siwej klaczy obserwował formowanie szeregów. Koń, przybrany w czaprak w barwach londyńskiego samorządu, nosił metalową przyłbicę z otworami na oczy, która upodabiała jego łeb do trupiej czaszki. Tułów i ramiona jeźdźca chroniła półzbroja z polerowanej stali, a nad szerokim, czarnym beretem drżało na słabym wietrze pawie pióro. Rozpoznałem Edmunda Carvera, jednego ze starszych radnych miejskich; wygrałem jego sprawę przed dwoma laty. Wiercił się niespokojnie na grzbiecie klaczy, jakby nie nawykł do zbroi. Był to dość przyzwoity osobnik, członek gildii kupieckiej; w mojej pamięci zapisał się przede wszystkim jako wielki smakosz. Przy nim stało dwóch żołnierzy w mundurach Korpusu Ochotników, jeden z długą spiżową trąbą, drugi z halabardą. Nieco dalej stał odziany w czarny dublet pisarz ze stertą akt na przenośnym pulpicie zawieszonym na szyi.

Żołnierz z halabardą odłożył swój oręż i dźwignął pęk kołczanów. Przebiegł przed pierwszym szeregiem rekrutów, usypując na ziemi rząd strzał. Dowódca nie przestawał taksować poborowych krytycznym spojrzeniem. Przypuszczalnie był zawodowym oficerem jak ci, których poznałem przed czterema laty, podczas wielkiej królewskiej wyprawy do Yorku. Teraz zapewne służył w powołanym przed kilkoma laty londyńskim Korpusie Ochotników, którego członkowie w wolne dni szkolili się w rzemiośle wojennym.

— Anglia potrzebuje mężczyzn, którzy będą jej służyć w

godzinie ciężkiej próby! — przemówił donośnym głosem. — Francuz sposobi się, by ogniem i mieczem zabijać nasze kobiety i dzieci, ale my nie zapomnieliśmy Agincourt! — Gdy zawiesił głos dramatycznie, Carver krzyknął: „Pamiętamy!”, a jego okrzyk podjęli rekruci.

— Wiemy po Agincourt, że jeden Anglik jest wart trzech Francuzów — ciągnął oficer. — Wyślemy im więc naszych słynnych łuczników na powitanie! Każdy z tych, których dziś wybiorę, dostanie płaszcz i trzy pensy dziennie! Zaraz się przekonamy, kto z was, chłopcy, trenował co tydzień uczciwie, a kto się lenił — dodał ostrzejszym tonem. — Tych, którzy nie ćwiczyli, może spotkać taka niespodzianka — tu zawiesił głos dramatycznie — że zostaną skierowani do pikinierów, by walczyć z Francuzami wręcz! Tak więc nie łudźcie się, że pudłując, wykręcicie się od wojny. — Omiótł wzrokiem mężczyzn, którzy przestępowali z nogi na nogę z nietęgą miną. W ponurej twarzy czarnobrodego oficera tlił się gniew. — Teraz — zawołał — na kolejny sygnał trąby każdy z was, zaczynając od pierwszego szeregu od lewej, najszybciej jak potrafi pośle sześć strzał do celu. Specjalnie wyrzucaliśmy dla was chochoła, by łatwiej wam przyszło wyobrazić sobie, że Francuzy przybędą chędożyć matki tych z was, którzy mają jeszcze matkę!

Spojrzałem na tłum gapiów, złożony z przejętych urwisów i dorosłych, raczej ubogiego stanu, jak również garstki zatroskanych młodych kobiet, pewnie żon lub wybranek serca poborowych.

Trębacz uniósł trąbę do ust i ponownie zadął. Pierwszy ze strzelców, przystojny rośli chłopak w skórzanej kamizeli, odważnie wystąpił z szeregu. Podniósł strzałę i zatknął w cięciwę, po czym szybkim, płynnym ruchem odgiął się do tyłu i posłał strzałę szerokim łukiem nad murawą. Strzała wbiła się we francuską lilię z takim impetem, że chochoł zachybotał się, jakby ożył. W niespełną minutę młodzieniec pięciokrotnie jeszcze napiął cięciwę i wypuścił strzałę, za każdym razem trafiając w chochoła przy wrzaskliwym aplauzie małych uliczników. Strzelec uśmiechnął się, wypinając dumnie szeroką pierś.

— Nieźle! — skwitował nieprzyjaźnie oficer. — Idź się zarejestrować! — Świeżo upieczony rekrut pomaszzerował do pisarza, machając łukiem w stronę gawiedzi.

Następny był ślamazarny młokos w białej koszuli, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Trzymał nędzny łuk z wiązu i wydawał się zdenerwowany. Zauważyłem, że nie ma ani mankietu, ani naparstnika. Oficer patrzył z niechęcią, jak odgarnia z oczu wiecheć brudnych, płowych włosów, podnosi z ziemi strzałę i wkłada w cięgiwę, którą naciąga z wyraźnym wysiłkiem. Strzała nie uleciała daleko i z głuchym tąpnięciem upadła w trawę, a sam łucznik stracił równowagę i omal się nie wyrócił. Przez chwilę podskakiwał na jednej nodze ku ucieście dzieciarni.

Druga strzała poleciała w bok, padając obok przyzmu; młodzian wrzasnął, zwijając się z bólu i chwytając za własną rękę. Spomiędzy palców ciekła mu krew. Oficer spojrzał na niego ponuro.

— Nie ćwiczylesię, co? Nawet strzały nie umiesz wypuścić jak należy. Marsz do pikinierów! Wysoki chłopak, jak ty, w sam raz nada się do walki wręcz. — Młodzian wyglądał na spietranego. — Rusz się! — huknął oficer. — Masz jeszcze cztery strzały do zmarnowania. Co tam krwawiące ręce. Widzowie chcieliby się jeszcze trochę pośmiać.

Odwrociłem się. Sam zostałem kiedyś upokorzony na oczach tłumu i nie miałem ochoty oglądać, jak inni muszą znosić podobne katusze.



Na podwórzu Gatehouse Court nie było już kwiaciarki. Udałem się do kancelarii. W przedpokoju mój młody sekretarz, Skelly, kopiował jakieś rozporządzenia. Nachylał się nad biurkiem, ślepiąc przez binokle w dokument.

— Na Polach odbywa się sprawdzian obronności — powiedziałem.

Podniósł wzrok na mnie.

— Słyszałem, że Korpus Ochotników potrzebuje jeszcze tysiąca mężczyzn na południowy brzeg Anglii. Czy sądzisz, panie, że

Francuzi naprawdę nas napadną?

— Nie wiem, Skelly — odparłem, uśmiechając się uspokajająco.

— Ciebie na pewno nie wezmą. Masz żonę, trójkę dzieci i nic nie widzisz bez szkieł.

— Modłę się, by mnie nie wzięli.

— Na pewno nie wezmą. — Ale też czy człowiek mógł być pewien czegokolwiek w tamtych dniach?

— Barak nie wrócił jeszcze z Westminsteru? — spytałem, patrząc na puste biurko mojego asystenta. Wysłałem go do Sądu Prośb, żeby przekazał zeznania dotyczące pewnej sprawy.

— Nie, panie.

Zaniepokoiłem się.

— Mam nadzieję, że z Tamasin wszystko w porządku.

— Najpewniej po prostu nie wcisnął się do wolnej łodzi na Tamizie — odparł Skelly z uśmiechem. — Wszystkie są teraz zajęte pod przewóz kontyngentów.

— Oby. Powiedz Barakowi, żeby przyszedł mi się pokazać po powrocie. Muszę już wracać do papierzyśk. — Udałem się do mojego gabinetu, czując, że Skelly ma mnie za przesadnie bojaźliwego. Ale Barak i jego żona, Tamasin, byli moimi drogimi przyjaciółmi. Tamasin spodziewała się za dwa miesiące rozwiązania, a pierwsze jej dziecko urodziło się martwe. Opadłem na krzesło z westchnieniem i zagłębiłem się w szczegóły pozwu, który już wcześniej czytałem. Moje oczy znów powędrowały w stronę listu na rogu biurka. Zmusiłem się, żeby odwrócić wzrok, ale nie mogłem przestać myśleć o sprawdzanie obronności zwiastującym wojnę, podczas której wielu młodych ludzi zostanie rozszarpanych przez kule bądź zaszlachtowanych na polu bitwy.

Wyjrzałem przez okno. Uśmiechnąłem się pod nosem na widok sylwetki mojego ongisiejszego adwersarza, Stephena Bealknapa, który siedł przez zalane słońcem podwórze. W ostatnim czasie pochylił się mocno i w czarnej todze adwokata i białym czepku przypominał wielką srokę wypatrującą dżdżownic w ziemi.

Bealknap nagle wyprostował się, patrząc w dal. Ujrzałem idącego w jego stronę Baraka ze skórzaną sakwą przerzuconą przez ramię.

Dopiero teraz zauważyłem, jak ciasno zielony dublet opina się na brzuchu mojego asystenta. Jego twarz nabrała zmiękczającej rysy pulchności, przez co wyglądał bardzo młodo. Bealknap okręcił się na pięcie i ruszył pośpiesznie w stronę kaplicy. Ten zdziwaczały skąpiec, który szczycił się tym, że nigdy się dobrowolnie nie rozstał z groszem, przed dwoma laty zadłużył się u mnie na drobną sumkę. Bezczelny na co dzień, na mój widok robił w tył zwrot, w pośpiechu rejterując w przeciwną stronę, co było powodem nieustannych żartów w Lincoln's Inn. Najwyraźniej Baraka też unikał. Mój asystent przystanął, patrząc z wesołym uśmiechem na plecy oddalającego się truchtem Bealknapa. Poczułem ulgę: ewidentnie z Tamasin wszystko w porządku.

Po chwili Barak pojawił się w moim gabinecie.

— Dostarczyłeś zeznania?

— Tak, ale nie mogłem złapać żadnej łodzi ze stopni Westminster Stairs. Na Tamizie roi się od łodzi z zaopatrzeniem dla wojsk i wszystkie czołna musiały przybić do brzegu, żeby zrobić dla nich miejsce. Widziałem też wielki okręt wojenny. Myślę, że specjalnie płynął z Deptford w górę rzeki, żeby go ludzie widzieli. Ale nie słyszałem z nabrzeży żadnych okrzyków entuzjazmu.

— Lud oswoił się już z tym widokiem. Pamiętam, jak wypłynęły *Mary Rose* i *Great Harry*; setki ludzi stały na brzegach, wiwatując. — Wskazałem mu krzesło po drugiej stronie biurka. — Siadaj, proszę. Jak się dziś miewa Tamasin?

Usiadł z kwaśnym uśmiechem.

— W kółko zrzedzi. Upał jej dokucza, puchną nogi.

— Dalej jest pewna, że urodzi dziewczynkę?

— Tak. Była wczoraj u jakiejś wiedźmy na Cheapside, która wieszczy za pieniądze, a ta, jakżeby inaczej, powiedziała Tamasin to, co chciała usłyszeć.

— A ty nadal obstajesz przy tym, że urodzi się chłopak?

— Owszem. — Pokręcił głową zafrasowany. — Tammy upiera się, żeby zachowywać się, jakby nigdy nic. Powiedziałem jej, że dobrze urodzone niewiasty osiem tygodni przed położeniem nie

wychodzą już z domu. Miałem nadzieję, że ją to zmityguje, ale gdzie tam.

— To już tylko osiem tygodni?

— Tak powiada Guy. Przyjdzie nas jutro odwiedzić. Zresztą dogląda jej położna Marris. Tammy była zadowolona, że idę do pracy. Uważa, że za bardzo się przejmuję.

Skinąłem w stronę okna.

— Widziałem, jak Bealknap rejteruje na twój widok.

Zaśmiał się.

— Ostatnio zawsze tak robi. Obawia się, że zażąda od niego tych trzech funtów, które jest ci dłużny. Stary pierdoła! — W oczach Baraka zatliły się chochliki. — Zważywszy na to, jak spada wartość pieniądza, powinienś podsumować go na cztery funty.

— Wiesz dobrze, że podejrzewam Bealknapa o brak piątej klepki. Już dwa lata temu stał się pośmiewiskiem, unikając mnie, a teraz unika i ciebie.

— A tymczasem się bogaci. Powiadają, że część swojego złota oddał do mennicy, żeby przerobili je na monety, i teraz, odkąd jest to dozwolone, pożyczka pieniądze na procent tym, których nie stać na spłatę podatków.

— Są tacy w Lincoln's Inn, którzy musieli się zapożyczyć, by zapłacić daniny. Bogu dzięki, mam jeszcze dość złota. Jednak zachowanie Bealknapa wskazuje na rozchwianie umysłu.

Barak spojrzał na mnie przenikliwie.

— Zbyt łatwo dopatrujesz się w ludziach szaleństwa. To dlatego, że tyle czasu poświęcasz Ellen Fettiplace. Odpowiedziałeś na jej ostatnie wezwanie?

— Muszę udać się jutro do Bedlam.

— Może i jest obłąkana, ale robi z tobą, co zechce. — Spojrzał na mnie z ukosa. — Wiesz dobrze czemu.

— Byłem na przechadzce — powiedziałem, by zmienić temat.

— Widziałem sprawdzian obronności na Polach Lincoln's Inn. Oficer odgrażał się, że tych, którzy nie przykładali się do strzelania z łuku, wezmą do pikinierów.

— Król może sobie kazać, co zechce, ale wszyscy wiedzą, że

tylko ci, którzy mają upodobanie do łucznictwa, oddają się regularnym ćwiczeniom — prychnął gniewnie. — To trudna dyscyplina i trzeba trenować wytrwale, żeby dojść do wprawy. Wydawanie praw, których nie sposób wyegzekwować, niczemu nie służy — stwierdził sentencjonalnie. — Lord Cromwell zawsze o tym pamiętał.

— Niestety, właśnie je egzekwują. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. A wczoraj byłem świadkiem, jak konstable na rozkaz króla czyścili ulice z żebraków i włóczęgów, by ich posadzić do wioseł galeasów. Słyszałeś ostatnie pogłoski? Francuskie oddziały wylądowały w Szkocji i teraz Szkoci też się szykują na nas.

— Ostatnie pogłoski — powtórzył kpiąco Barak. — Kto rozsiewa te historyjki o najeździe Francuzów i Szkotów? Sługusy króla, ot co. Pewnie po to, żeby nie dopuścić do rebelii takiej jak w trzydziestym szóstym. Znowu mamy nowe podatki i upadek pieniądza. Spójrz tylko na to. — Sięgnął do mieszka i wyjął małą srebrną monetę, którą rzucił na blat. Podniosłem pieniądz, z którego spojrzało na mnie królewskie oblicze z tłustym podgardlem.

— Kolejna odmiana szylinga. Teston — wyjaśnił Barak.

— Jeszcze takich nie widziałem.

— Tamasin poszła wczoraj z położną Marris po sprawunki na Cheapside, gdzie już było tego w bród. Zobacz, jaki jest zmatowiały. Srebro jest tak zanieczyszczone miedzią, że dadzą ci za to towar wart ośmiu pensów. Ceny chleba i mięsa podskoczyły zawrotnie. Co zresztą nie znaczy, że o chleb łatwo, bo wszystko rekwirują dla wojska. — W piwnych oczach Baraka zapłonął gniew. — A gdzie podziała się nadwyżka srebra? Poszła na spłatę niemieckich bankierów, u których król się zapożyczył na wojnę!

— Naprawdę uważasz, że francuska inwazja może być tylko wymysłem?

— Niewykluczone. Nie wiem. — Zamilkł na chwilę. — Zdaje mi się, że chcą mnie wziąć do wojska — dodał z wahaniem.

Aż podskoczyłem z wrażenia.

— Co?

— W zeszły piątek konstabl kręcił się wokół domów w naszej

dzielnicy z żołnierzami, spisując wszystkich mężczyzn w wieku poborowym. Mówiłem, że mam żonę i dziecko w drodze, na co żołnierz, że na jego oko w sam raz się nadają do służby. Rozeźliłem się i kazałem mu się wynosić. Sęk w tym, że wrócił wczoraj. Tamasin spostrzegła go przez okno, ale mu nie otworzyła.

Westchnąłem ciężko.

— Twoje zuchwalstwo źle się kiedyś skończy dla ciebie.

— To samo mówi Tamasin. Ale przecież nie biorą żonatych mężczyzn z dziećmi. Z reguły.

— Władze biorą się za nas nie na żarty. Obawiam się, że może dojść do ataku na Anglię, bo po cóż by inaczej zaciągano tysiące żołnierzy? Lepiej uważaj.

Barak odpowiedział hardym spojrzeniem.

— Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby król w zeszłym roku nie najechał Francji. Czterdzieści tysięcy chłopów wysłano na drugą stronę Kanału i co z tego wynikło? Musieliśmy zmykać jak niepyszni, jeśli nie liczyć tych patałachów, którzy utknęli w Boulogne. Wszyscy mówią, że powinniśmy odejść z Boulogne i zawrzeć pokój, żeby ograniczyć straty do minimum, ale król obstaje przy swoim. Nasz Harry zawsze wszystko wie najlepiej.

— Zgadzam się z tobą.

— Pamiętasz, jak zeszłej jesieni na drogach do Londynu poniewierali się powracający z Francji obdarci, dziesiątkowani morem żołnierze? Nie mam zamiaru skończyć jak oni.

Przyjrzałem się uważnie mojemu asystentowi. Kiedyś wojaczka kojarzyła mu się z przygodą, ale te czasy należały raczej do przeszłości.

— Jak wygląda ten żołnierz?

— Wielki mężczyzna w twoim wieku z czarną brodą, odziany w mundur londyńskiego Korpusu Ochotników. Wygląda, jakby już powąchał prochu.

— Kierował dzisiejszym sprawdzianem obronności. Moim zdaniem to zawodowy żołnierz. Lepiej się takiemu nie narazić.

— Cóż, skoro ogląda wszystkich poborowych, to może nie będzie miał czasu się mną zająć.

— Oby. Gdyby cię znów nachodził, daj mi natychmiast znać.

— Dziękuję — odparł pokornie.

Sięgnąłem po list na rogu biurka.

— Ja z kolei chciałbym, żebyś rzucił okiem na to. — Podałem mu list.

— Mam nadzieję, że to nie kolejny bilecik od Ellen.

— Spójrz na pieczęć. Musiałeś już taką widzieć.

Przyjrzał się uważnie.

— Pieczęć królowej. To od radcy Warnera? Kolejna sprawa?

— Przeczytaj. Niepokoi mnie ten list — przyznałem opornie.

Barak rozłożył list i zaczął czytać na głos:

— *Będę wdzięczna za prywatną konsultację w pewnej osobistej kwestii. Zapraszam na spotkanie u mnie, w Hampton Court, jutro po południu, o trzeciej.*

— Podpisano...

— Wiem, królowa Katarzyna, a nie radca Warner. — Barak jeszcze raz przebiegł tekst wzrokiem. — Niezbyt długi list. Ale pisze, że w kwestii prywatnej. Nic nie wskazuje na to, by to była jakaś sprawa polityczna.

— Musi to być jednak coś, co dotyczy jej osobiście, skoro sama napisała list. Mimo woli nasuwa mi się wspomnienie, jak w zeszłym roku królowa zleciła Warnerowi obronę krewnego jej sługi, który był oskarżony o herezję.

— Obiecała, że będzie cię trzymać z dala od takich spraw, a ona nie należy do osób, które łamią raz dane słowo.

Skinąłem. Ponad dwa lata temu, kiedy królowa Katarzyna była jeszcze lady Latimer, uratowałem jej życie. Obiecała mi wtedy, że będzie moją stałą klientką i że nigdy nie będzie mieszać mnie do polityki.

— Kiedy ją widziałeś ostatni raz? — spytał Barak.

— Nie widziałem jej od wiosny. Udzieliła mi audiencji w Whitehall, żeby mi podziękować za rozwikłanie tamtej zagmatwanej sprawy dotyczącej jej włości w Midland. W zeszłym miesiącu przesłała mi swój modlitewnik. Pamiętasz, pokazywałem ci. *Modlitwy i rozmyślania.*

Skrzywił się.

— Straszne ponuractwo.

— Tak, to prawda. — Uśmiechnąłem się wyrozumiale. — Nie przypuszczałem nawet, że tyle w niej smutku. Dołączyła własnoręczny liścik, pisząc, że ma nadzieję zwrócić me myśli ku Bogu.

— Nigdy dotąd nie naraziła cię na żadne kłopoty. Zobaczysz, że to będzie kolejna sprawa dotycząca włości.

Poczułem ulgę. Barak od dziecka znał od kulis świat polityki, więc ceniłem sobie jego zdanie.

— Królowa i Ellen Fettiplace! Szykuje się pracowity dzień — zażartował.

— Tak. — Wziąłem od niego list. Na wspomnienie mojej ostatniej wizyty w Hampton Court poczułem, jak żołądek skręca mi się w supeł ze strachu.

Rozdział drugi

Późnym popołudniem skończyłem pracować nad ostatnią sprawą i posypałem piaskiem notatki.

Nadchodził uroczy letni wieczór. Przed dwoma dniami obchodziliśmy noc świętojańską, ale królewski edykt zabraniał tradycyjnych uroczystości i palenia ognisk. W mieście obowiązywała cisza nocna, ulice patrolowały dodatkowe straże, czuwając, by francuscy szpiedzy nie podłożyli ognia.

Dochodząc do domu, uświadomiłem sobie, że nie czuję już miłego podniecenia, jak za życia Joan, a raczej, powiedziałbym, irytację. Przesząpiłem próg domu. Josephine Coldiron, córka mego majordomusa, z rękami w małdrzyk stała na rogóżce w sieni, a na jej krągłej, tępej fizjonomii malowało się lekkie zafrasowanie.

— Dobry wieczór, Josephine — powitałem ją. Dygnęła, schylając głowę. Jasny kosmyk niemytych włosów wymknął się spod białego czepek i opadł jej na czoło.

— Proszę o wybaczenie, panie. — Nerwowo wetknęła włosy pod czepek.

— Co z obiadem? — spytałem łagodnie, gdyż wiedziałem, że się mnie boi.

— Jeszcze się nie wzięłam za obiad — wyznała ze skruchą. — Potrzebuję chłopców do pomocy przy warzywach.

— A gdzie Simon i Timothy?

Na jej twarzy odbiła się panika.

— Tego... no... z moim ojcem, panie. Zaraz ich zawołam, żeby się wzięli do roboty.

Podreptała do kuchni jak spłoszona mysz.

Guy, mój stary druh, chwilowo również mój rezydent, siedział na krześle i wyglądał przez okno. Odwrócił się, kiedy wszedłem, siląc się na uśmiech. Guy był medykiem, człowiekiem cieszącym się szacunkiem, co jednak pewnej nocy przed dwoma tygodniami nie powstrzymało bandy czeladników polujących na francuskich szpiegów przed splądrowaniem jego domu w pobliżu Old Barge; podarli naukowe zapiski, które prowadził od lat, i zdemolowali instrumentarium doktora. Guya nie było w domu, inaczej niechybnie by zginął. To, że był Hiszpanem, nic by mu nie pomogło; z daleka było widać, że jest cudzoziemcem, miał śniadą twarz i obcy akcent. Odkąd wzięłem go do siebie, popadł w melancholię, co bardzo mnie martwiło. Odstawiłem sakwę na podłogę.

— Jak się czujesz, Guy?

Unióś dłoń w geście powitania.

— Siedzę tu cały dzień. Dziwna rzecz, zawsze sądziłem, że gdybym przestał pracować, czas włókłby się w nieskończoność, tymczasem pędzi jak szalony, a ja nawet tego nie zauważam.

— Barak mówi, że Tamasin dokuczają upały.

Z radością odnotowałem na jego twarzy ożywienie.

— Zobaczę się z nią jutro. Jestem pewien, że wszystko w porządku, ale będą spokojniejsi. Czy raczej on będzie spokojniejszy. Tamasin się nie denerwuje. — Zawahał się. — Zaproponowałem, że zbadam ją tutaj. Nie wiem, czy nie za bardzo się panoszę u ciebie?

— Ale skądże. Możesz tu sobie siedzieć, jak długo zechcesz, wiesz dobrze o tym.

— Dziękuję. Boję się, że jeśli wrócę do siebie, znów spotka mnie to samo. Wrogość wobec cudzoziemców wzrasta z dnia na dzień. Spójrz tylko na nich. — Skinął w stronę podzielonego na skośne kwatery okna, które wychodziło na ogród.

Podszedłem do okna i wyrząłem na zewnątrz. Mój lokaj,

William Coldiron, stał na ścieżce z rękami założonymi na kościstych biodrach i srogim wyrazem trupio bladej twarzy porośniętej siwą szczecina. Dwaj młodzi służący, czternastoletni Simon i niziutki, dwunastoletni Timothy, z miotłą na ramieniu maszerowali jak żołnierze po ogrodzie. Coldiron przyglądał im się srogo przez jedyne oko; drugi oczodół zakrywała wielka czarna łata.

— W prawo zwrot! — huknął, a chłopcy nieporadnie wykonali rozkaz.

Usłyszałem, jak Josephine woła ich przez drzwi kuchenne. Coldiron gwałtownie zadarł głowę, patrząc w stronę gabinetu.

Otworzyłem okno.

— William! — krzyknąłem ostro.

Coldiron odwrócił się do chłopców.

— Jazda do domu warzyć obiad dla pana, a nie zawracać mi głowy jakąś durną musztrą! — zbeształ ich.

Chłopcy odeszli nabzdyczeni.

Odwróciłem się do Guya.

— Skaranie boskie z tym Coldironem.

Guy potaknął ze znużeniem. Po chwili mój lokaj stanął przede mną. Ukłonił się, po czym czekał wyprężony na baczność. Jak zwykle nie mogłem się przemóc, by mu spojrzeć w twarz. Długa, głęboka blizna biegła od krawędzi łysiejącego czoła do klapki na oku, a stamtąd do kącika ust. Kiedy go o nią spytałem, gdy ubiegał się o pracę, wyjaśnił, iż szrama jest pamiątką sprzed trzydziestu lat spod Flodden po cięciu szkockiego miecza. Wiedziony nieuleczalnym współczuciem dla istot ułomnych przyjąłem go, choć nie bez znaczenia był również fakt, że po tym, jak król nam wlepił dwa kolejne sążniste podatki, musiałem liczyć się z groszem, a Coldiron zadowolili się skromną płacą. Przyznam, że od pierwszej chwili nie przepadałem za nim.

— Cóżeś tam wyprawiał z chłopcami w ogrodzie? — naparłem na niego. — Josephine mówiła, że nie wzięłeś się nawet do obiadu.

— Proszę o wybaczenie, panie — odparł, nie mrugnawszy okiem — ale Simon i Timothy pytali mnie o moją przeszłość wojskową. Dobre chłopaki, rwą się, by bronić naszego kraju przed

Francuzem. — Bezradnie rozłożył ręce. — Męczyli mnie, żebym im pokazał, jak wygląda musztra wojskowa. Nie chcieli dać mi spokoju. Podnieca ich, że brałem udział w ostatniej bitwie ze Szkotami i własnoręcznie ściąłem króla Jakuba Czwartego.

— Miotłami będą nas bronić?

— Czasy przyszły takie, że nawet gołowąsy będą musiały chwycić za piki i gizarmy. Mówią, że Szkotom znów stare sztuczki w głowie i szykują się, by najechać nas od północy, gdy od południa grozi nam Francuz. Wierzę w to, bo znam tych bosonogich drani. A gdy w dodatku cudzoziemscy szpiedzy podpalą Londyn... — Zerknął spod oka na Guya, przelotnie, lecz wystarczająco długo, by Guy, dostrzegłszy to, odwrócił się do niego plecami.

— Nie życzę sobie, żebyś musztrował Timothy'ego i Simona — powiedziałem ostro — bez względu na to, jak biegły jesteś w sztuce wojennej. Twoim zadaniem jest obecnie prowadzenie mojego gospodarstwa.

Mięsień nie drgnął na twarzy Coldirona.

— Ma się rozumieć, panie, nie dam się już więcej podejść szczeniakom. — Ponownie skłonił się głęboko i wyszedł z pokoju. Patrzyłem tępo w drzwi.

— To on wezwał chłopców na naukę musztry — odezwał się Guy. — Widziałem na własne oczy. Timothy wcale się nie palił do tego.

— To łgarz i nicpoń.

Guy puścił do mnie oko.

— Wierzysz, że zabił króla Szkotów?

— Każdy angielski wojak, który był pod Flodden, przypisuje sobie ten czyn. Zastanawiam się, czyby go nie zwolnić.

— Może to i dobry pomysł — poparł mnie nieoczekiwanie Guy, choć zwykle był wcieleniem łagodności.

— Żał mi tylko jego córki — westchnąłem. — Coldiron terroryzuje ją nie mniej niż chłopców. — Potarłem brodę. — Swoją drogą, jutro muszę się udać do Bedlam, odwiedzić Ellen.

Podniósł na mnie wzrok przepełniony głębokim smutkiem.

— W gruncie rzeczy to nie służy żadnemu z was, że pędzisz

do niej, ilekroć wmawia ci, że coś jej dolega. Choćby jej było Bóg wie co, nie ma prawa żądać, byś zjawiał się na każde jej skinienie.



Następnego ranka o świcie wyruszyłem do Bedlam. Poprzedniej nocy ostatecznie podjąłem decyzję względem Ellen. Nie paliłem się do tego, co mi przyjdzie zrobić, ale nie miałem wyboru. Włożyłem szatę i buty do konnej jazdy, zebrałem akcesoria jeździeckie i ruszyłem w stronę stajni. Postanowiłem jechać przez miasto szerszymi, brukowanymi ulicami. Zastałem Genesis w boksie z pyskiem w żłobie. Timothy, do którego obowiązków należało oporządzanie stajni, czesał konia. Na mój widok Genesis zadarł głowę i zarżał radośnie. Poklepałem go po pysku, czując pod dłonią sztywne, kłujące wąsy. Był u mnie od pięciu lat; przybył jako żreback, a teraz był już dojrzałym, spokojnym wierzchowcem. Spojrzałem na Timothy'ego.

— Dodałeś mu ziół do obroku, tak jak prosiłem?

— Tak, panie. Jadł, aż miło.

Widząc, jak buzia Timothy'ego rozjaśnia się w szczerbatym uśmiechu, poczułem ucisk w sercu. Był sierotą i prócz moich domowników nie miał na całym bożym świecie nikogo. Wiedziałem, że boleśnie odczuł śmierć Joan. Kiwnąłem głową.

— Gdyby Coldiron znów was namawiał z Simonem na zabawy w wojsko, masz mu powiedzieć, że się nie zgadzam. Rozumiesz, Timothy?

Chłopiec nerwowo przestępował z nogi na nogę.

— Kiedy on mówi, panie, że powinniśmy się uczyć musztry.

— A ja mówię, że jesteście jeszcze za młodzi. A teraz, mój chłopcze, przynies schodki, bym mógł dosiąść konia.

Stanowczo muszę się pozbyć tego indywiduum, postanowiłem w duchu, myśląc o Coldironie.



Zjechałem w dół Holborn Hill, a potem przejechałem przez bramę miejską w Newgate, niedaleko ponurych, okopconych dymem

kamiennych murów więzienia. Wejścia do dawnego Christ's Hospital strzegło dwóch halabardników. Słyszałem, że szpital, podobnie jak pozostałe mienie klasztorne, służy za królewski magazyn broni i sztandarów. Znów przypominałem sobie mojego druha Rogera i jego plany ufundowania przez korporacje prawnicze nowego szpitala dla ubogich. Próbowałem kontynuować jego dzieło po śmierci przyjaciela, ale podatki wojenne żyłowały nas tak, że wszyscy oglądali każdy grosz z obu stron.

Spod bramy podwórza na Shambles wyfrunęła kurzawa gęsiego pierza, płosząc Genesis. Chodnikiem płynęła krew. Wojna była równoznaczna z wielkim zapotrzebowaniem na strzały do królewskich zbrojowni. Domyslałem się, że zarzynano gęsi na pierze do wyrobu strzał. Przypominałem sobie sprawdzian obronności oglądany poprzedniego dnia. Tysiąc pięciuset mężczyzn zgarnięto już z londyńskich ulic i wysłano na południe, nie mały kontyngent jak na miasto, które sobie liczy sześćdziesiąt tysięcy dusz. To samo działo się w całym kraju; miałem nadzieję, że oficer z mroczną fizjonomią zapomni o Baraku.

Wjechałem teraz na Cheapside, główny trakt wiodący między sklepami, budynkami publicznymi i kamienicami co zamożniejszych kupców. Kaznodzieja z długą, siwą brodą, wskazującą, że jej właściciel jest protestantem, stał na schodach kamiennego monumentu Cheapside Cross.

— Bóg niechybnie pobłogosławi naszemu orężowi, gdyż Francuzi i Szkoci są zgrają wygolonych papistów, narzędziami szatana w jego wojnie przeciwko naukom Pisma Świętego! — piał.

Był to zapewne jeden z tych samozwańczych radykalnych kaznodziejów, którzy jeszcze dwa lata temu wyładowaliby od razu w więzieniu, teraz jednak wrócili do łask za nawoływanie do wojny. Wzrokiem nieustannie przeczesywał tłum, jakby spodziewał się szpiegów szkockich czy francuskich, którzy... mogli dosypać trucizny do żywności na straganach? Niewiele jej zostało, gdyż jak wspominał Barak, większość została zarekwirowana dla wojsk, a zeszłoroczne zbiory były marne. W jednym kramie wypatrzyłem z odrazą coś, co z daleka wyglądało na stertę owczych bobków, z bliska jednak

okazało się suszonymi śliwkami. Odkąd król zezwolił korsarzom na napadanie francuskich i szkockich statków, na straganach zaczęły się pojawiać różne smakołyki. Przypomniałem sobie, jak świętowaliśmy na wiosnę, gdy korsarz Robert Renegar przyholował w górę Tamizy hiszpański statek wyładowany indyjskim złotem. Hiszpanie szaleli z wściekłości, za to na naszym dworze Renegar był fetowany jak jakiś bohater.

Na targu czuło się w powietrzu agresję. Przy straganie warzywnym tęga niewiasta o czerwonej twarzy wymachiwała testonem przed nosem straganiarza, aż ze złości łopotały białe skrzydła jej czepca.

— To jest szyling! — wrzeszczała. — Ma wytłoczoną głowę Jego Królewskiej Mości!

Kramarz ze znużeniem wałnął dłonią w stragan.

— Jest pół na pół z miedzi! W starej monecie wart osiem pensów góra! Nic na to nie poradzę. To nie ja biję taki lichy pieniądz.

— Mój mąż odebrał w tej monecie wypłatę, a ty chcesz pensa za worek tego dziadostwa! — Chwyciła małą główkę kapusty, wymachując mężczyźnie przed twarzą.

— Nie wiesz, że burze zniszczyły zbiory? Możesz jojczyć, ile chcesz, nic mnie to nie obchodzi! — Teraz straganiarz już sam krzyczał, ku ucieście gromadki obdartych urwisów z wychudłym psem, który ujadał zawzięcie. Niewiasta energicznie odłożyła kapustę.

— Znajdę sobie lepszą gdzie indziej!

— Raczej nie za jednego z tych miedziaków!

— Wszystko się zawsze odbija na najbiedniejszych — uniosła się. — Ubodzy pracują za nic. Założę się, że twoja rodzina nie przymiera głodem. Kiedy wreszcie przyjdzie kres takim krwiopijcom, jak król i wy wszyscy! — Zorientowawszy się, co jej się wymknęło, rozejrzała się trwożnie wokół, ale w pobliżu nie było żadnych konstabli. Odeszła, kłapiąc pustą torbą o spódnicę.

— Dobry, spokojny koń — zwróciłem się do Genesis. Westchnąłem. Mimo że miałem już swoje lata, dalej źle znosiłem

zniewagi pod moim adresem, w dodatku czułem się upokorzony. Choćbym nie wiem jak zżymał się, podobnie jak reszta zamożnych obywateli, na podatki, wciąż mieliśmy co włożyć do garnka. Pytanie, czemu pokornie znosiliśmy to, że król próbuje nas ogołocić. Odpowiedź była prosta: było to mimo wszystko lepsze od inwazji wroga.

Jechałem teraz przez Poultry. Na rogu Three Needle Street kilku czeladników w jasnoniebieskich kaftanach stało z rękami zatkniętymi za pasy, tocząc groźnie wzrokiem dokoła. Przejeżdżający konstabl nie zwrócił na nich uwagi. Wałęsający się czeladnicy, dawniej tępieni przez służby porządkowe, teraz uchodzili za dodatkową ochronę przed cudzoziemskimi szpiegami. To właśnie banda młokosów ich pokroju splądrowała pracownię Guya. Wyjeżdżając z miejskich murów przez Bishopsgate, dumałem ponuro, czy jadę do domu wariatów, czy raczej opuszczam jego podwoje.



Ellen Fettiplace poznałem przed dwoma laty, odwiedzając mojego klienta, chłopca zamkniętego w Bedlam z powodu manii religijnej. Na oko wydawała się zdrowsza od pozostałych. Powierzano jej mniej groźnych pacjentów, do których odnosiła się z łagodnością i troską, a jej opieka przyczyniła się do odzyskania zdrowia przez mojego klienta. Byłem zdumiony, gdy poznałem naturę jej choroby — panicznie bała się opuszczać mury budynku. Sam byłem świadkiem szaleńczej trwogi, jaka ją ogarniała, ilekroć wyszła choćby krok za próg. Współczułem Ellen, zwłaszcza gdy dowiedziałem się, że zamknięto ją w Bedlam po tym, jak została napadnięta i zgwałcona obok swojego domu w hrabstwie Sussex. Miała wtedy lat szesnaście, a teraz — trzydzieści pięć.

Kiedy wypuszczono mojego klienta, Ellen poprosiła mnie, czy mógłbym ją odwiedzać, przynosząc wiadomości z zewnątrz, bo prawie nie wiedziała, co się w świecie dzieje. Przystałem na to, bo nikt oprócz mnie jej nie odwiedzał, pod jednym warunkiem wszakże: zgodzi się, bym spróbował ją wyprowadzić na zewnątrz.

Odtąd miałem się najróżniejszych metod, prosząc, by wyszła choćby jeden krok za próg, obiecując, że będziemy ją podtrzymywać z Barakiem z obu stron, lub namawiając, by zamknęła oczy — Ellen jednak zawsze umiała mnie jakoś przechytrzyć, wzbraniając się i grając na zwłokę.

Ostatecznie zaś zaprzęła swą przebiegłość, jedyną broń we wrogim świecie, w innym celu. Początkowo zobowiązałem się odwiedzać ją „od czasu do czasu”, ale ona ze zręcznością adwokata umiała wywrócić kota ogonem. Najpierw prosiła, bym ją odwiedzał co miesiąc, potem co trzy tygodnie, gdyż była straszliwie spragniona nowin, wreszcie — co dwa. Jeśli przeoczyłem termin odwiedzin, dostawałem od niej wiadomość, że jest chora, a gdy pośpiesznie udawałem się do niej, zastawałem ją, jak cudownie uleczona siedzi w najlepsze przy kominku, pocieszając któregoś z chorych. Na domiar złego w ostatnich miesiącach oświeciło mnie, że istnieje jeszcze jeden problem, który umknął mej uwadze: Ellen była we mnie zakochana.



Ludzie wyobrażają sobie Bedlam jako ponurą warownię, po której korytarzach niesie się skowyt szaleńców i szczęk łańcuchów o kraty. Fakt, że niemało tam jęczących i przykutych łańcuchami, ale niski, podłużny budynek z szarego kamienia z zewnątrz nie wygląda odstrasżająco. Wchodzi się przez szeroki dziedziniec, na którym tego dnia nie było nikogo poza wysokim, chudym mężczyzną w szarym, poplamionym dublecie. Mężczyzna chodził w kółko ze wzrokiem wbitym w ziemię, mamrocząc coś bezgłośnie. Musiał to być jakiś nowy pacjent, zapewne zamożny, który postradał zmysły, a jego rodzinę stać było na to, by usunąć go sprzed oczu, zamykając w Bedlam.

Zastukałem do drzwi. Otworzył mi jeden z dozorców, Hob Gebons, szczękając wielkim pękiem kluczy u pasa. Krępy, na oko pięćdziesięcioletni, był tylko strażnikiem; pacjenci go nie interesowali, a niektórych traktował z bezmyślnym okrucieństwem. Dla mnie żywił odrobinę szacunku, ponieważ miałem odwagę

postawić się zarządcy Bedlam, Edwinowi Shawmsowi, który dla odmiany był okrutny dla wszystkich bez wyjątku pacjentów, zawsze postępował z głęboką premedytacją. Gebons miał też jedną zaletę — był przekupny. Na mój widok uśmiechnął się kpiąco, odsłaniając sine zęby.

— Jak się miewa? — spytałem.

— Wesoła jak szczypiorek na wiosnę, odkąd dostała wiadomość, że pan przyjedzie. Przedtem ubzduriała sobie, że ma dżumę. Shawmsa szlag trafiał, gdy patrzył, jak ona się poci, a pociła się obficie, bo bał się, że zarządzą nam kwarantannę. A potem przyszedł liścik od pana i po godzinie zaczęło jej się poprawiać. Rzekłbym, że to cud, gdyby nie to, że Kościół potępił cuda.

Wszedłem do środka. Nawet w ten gorący letni dzień w Bedlam czuło się stęchłą wilgoć. Po lewej stronie zobaczyłem uchylone drzwi do świetlicy, gdzie część pacjentów grała w kości wokół starego, odrapanego stolika. W kącie, na krześle, kobieta w średnim wieku cicho łkała, ściskając kurczowo drewnianą lalkę. Reszta nie zwracała na nią uwagi; w tym przybytku podobne zachowanie było na porządku dziennym. Na prawo ciągnął się korytarz z drzwiami do pokoiów chorych. Ktoś od środka łomotał w jedne drzwi.

— Wypuście mnie! — wołał męski głos.

— Jest zarządca Shawms? — spytałem Hoba.

— Nie. Udał się do gwardiana Metwysa.

— Chciałbym zamienić z panem parę słów po spotkaniu z Ellen. Nie mogę tutaj zabawić dłużej niż pół godziny, bo muszę się punktualnie stawić na ważne spotkanie. — Sięgnąłem do pasa i zabrzczałem wymownie sakiewką. Przy każdej wizycie dawałem parę groszy Hobowi, by zapewnić Ellen przyzwoitą pościel i jadło.

— W porządku, będę w kantorze. Ellen jest w pokoju.

Nie musiałem sprawdzać, czy drzwi są otwarte. Jeśli coś było pewne, to to, że Ellen nie będzie próbować ucieczki.

Ruszyłem korytarzem i zastukałem do jej drzwi. Oczywiście mężczyźni nie wypada odwiedzać samotnych niewiast, ale w Bedlam panowało rozluźnienie przyjętych reguł. Ellen zaprosiła

mnie do środka. W czystej, niebieskiej sukni z głębokim dekoltem, splótłszy wdzięcznie dłonie na podolku, siedziała na łóżku z siennikiem. Jej szczupła twarz z orlim nosem wyrażała spokój, ale ciemnoniebieskie oczy były powiększone z podniecenia. Długie, brązowe włosy wyglądały na świeżo umyte, ale na końcach zaczynały się już mierzwić i rozdawać. Zakochany mężczyzna nie dostrzega takich szczegółów. Tu właśnie tkwił sęk.

Ellen uśmiechnęła się, odsłaniając duże, białe zęby.

— Matthew! A więc mój liścik dotarł do ciebie! Byłam strasznie chora.

— Lepiej się czujesz? — spytałem. — Gebons mówi, że mocno gorączkowałaś.

— Tak. Bałam się, że mam dżumę — przytaknęła nerwowo. — Przeraziłam się.

Usiadłem na krześle na drugim końcu pokoju.

— Brak mi nowin z zewnątrz — powiedziała z wyrzutem. — Już ponad dwa tygodnie, jak cię nie widziałam.

— Niecałe dwa tygodnie — sprostowałem łagodnie.

— A co z wojną? Nic nam nie mówią, żeby nas nie niepokoić, ale staremu Benowi Tudballowi wolno wychodzić; widział przemarsz wielkich oddziałów wojsk...

— Podobno flota francuska płynie już w naszą stronę, a księżę Somerset prowadzi wojska w stronę szkockiej granicy. To wszystko jednak tylko, zdaniem Baraka, pogłoski rozsiewane przez ludzi króla.

— Co nie znaczy, że są nieprawdziwe.

— Zgadza się. — Kolejny raz zaskoczyły mnie jej żywy umysł, inteligencja i niekłamane zainteresowanie światem. Mimo to tkwiła w Bedlam. Spojrzałem przez zakratowane okno na podwórze.

— Słyszałem, jak ktoś łomotał w drzwi, domagając się, by go wypuścić.

— To ktoś nowy. Część tych biedaków nie wie nawet, że oszalała.

W pokoju czuć było stęchlizną.

— Przydałoby się zmienić maty — powiedziałem, patrząc na podłogę. — Hob powinien się tym zająć.